

MARCO VICHI

KOMISARZ BORDELLI

ŚMIERĆ
W GAJU OLIWNYM



Florencja, kwiecień 1964

O dziewiątej wieczorem głównym wejściem wbiegł do kwestury* zdyszany człowieczek w łachmanach, nieprzewyższający wzrostem małego dziecka. Przykleił się do szyby dyżurki, wykrzykując grzecznie, że chce rozmawiać z komisarzem. Mugnai odpowiedział mu z wnętrza, żeby się uspokoił, po czym zapytał, którego komisarza ma na myśli. Karzełek klepnął brudną dłonią w szybę.

– Komisarza Bordellego! – wrzasnął, tak jakby w grę nie wchodził żaden inny.

– A gdyby go nie było? – spytał Mugnai.

– Widziałem jego garbusa – odparł karzełek.

W końcu wpuszczono go do środka. Mugnai dał znak swemu koledze Taddeiemu, potężnie zbudowanemu funkcjonariuszowi o wolicach oczach, który rozpoczął niedawno służbę. Ten podniósł się ciężko z krzesła i poprowadził karzełka po schodach na górę. Zatrzymał się dopiero przed drzwiami komisarza, w głębi długiego korytarza na pierwszym piętrze.

* *Questure* to we Włoszech komendy policji w głównych miastach poszczególnych prowincji.

– Zaczekaj tu – powiedział, rzucając okiem na wytarte tylko z grubsza, ubłocone buciory karła. – Wejdz – dodał po chwili. Człowieczek wślizgnął się biegiem do środka.

Taddei usłyszał głos Bordellego:

– Casimiro, co ty tu robisz? – Potem drzwi zamknęły się nagle.

Nieufny policjant podrapał się po głowie, zapukał znowu i wsunął z szacunkiem głowę w uchylone drzwi.

– Nie potrzebuje pan czegoś, panie komisarzu?

– Nie, dziękuję, możesz odejść.

Casimiro wciąż łapał z trudem powietrze i czekał bez słowa, aż umundurowane chłopisko zamknie drzwi. Nie przyjął od komisarza papierosa i stał dalej przed biurkiem.

– O co chodzi, Casimiro? Wydajesz się podenerwowany.

– Widziałem coś, panie komisarzu, na wzgórzu pod Fiesole... szedłem właśnie przez pole i...

– Jeżeli nie chcesz zapalić, to napij się przynajmniej piwa. – Bordelli wskazał mu najniższą szufladę kartoteki po drugiej stronie pokoju. – Wyjmij jedno i dla mnie, dziękuję – dodał.

Casimiro podbiegł, żeby wyjąć butelki, i nerwowymi ruchami postawił je na biurku. Było mu pilno podzielić się tym, co miał do powiedzenia. Bordelli otworzył spokojnie oba piwa, podważając kapsle kluczem od mieszkania, i podał jedno gościowi. Karzełek od razu wypił pół butelki, uspokoił się trochę i w końcu usiadł na krześle. Komisarz pociągnął łąpczywie kilka łyków, opryskując sobie koszulę, a potem odstawił butelkę na papiery i kartki, którymi załane było biurko. Na ścianie za jego plecami wisało zakurzone zdjęcie prezydenta republiki, na tym samym gwoździu zawieszona była również końska podkowa. Bordellemu przeleciało przez głowę, że w tym biurze unosi

się zawsze zapach zapleśniałej tektury i grzybów...

Casimiro kręcił się na krześle, nie rozpiąwszy nawet okrycia. Miał na sobie dziecięcą kurteczkę, wyraźnie na niego za dużą. Bordelli przyglądał się twarzy karzełka, drobnej i wąskiej, jakby została zgnieciona w drzwiach. Znał go od pierwszych lat powojennych i za każdym razem, gdy go widywał, karzeł miał tę samą zboląłą, niespokojną minę. Śmiał się niezwykle rzadko, co najwyżej rzucał jakieś zabawne słówko na temat własnej ułomności, krzywiąc się przy tym. Bordelli lubił go na swój sposób i czasami udawał, że powierza mu jakieś zadanie, na przykład zdobycie informacji, żeby móc wręczyć mu trochę pieniędzy, nie wprawiając go zbytnio w zakłopotanie.

– Przechodziłem tamtędy przypadkiem, komisarzu...
Gdybym nie zobaczył tego na własne oczy...

– Przepraszam, że ci przerwę, Casimiro... drugiego obchodziłem urodziny.

– Najlepsze życzenia...

– I to wszystko?

– A co mam jeszcze zrobić, panie komisarzu?

Tego wieczoru Bordelli miał ochotę na pogawędkę, być może dlatego, że czuł się bardzo zmęczony... Poza tym obawiał się, że Casimiro chce mu opowiedzieć jakieś głupoty.

– Nie zapytasz, ile lat skończyłem?

– Ile lat pan skończył?

– Pięćdziesiąt cztery, Casimiro, i nie mam najmniejszej ochoty, żeby zacząć się starzeć. Mam pięćdziesiąt cztery lata, a jak wracam do domu, nie czeka na mnie nikt, kto by mnie pocałował w usta.

– Dlaczego nie postara się pan o psa, komisarzu? – spytał z poważną miną karzełek.

Bordelli uśmiechnął się i zajął na dłuższą chwilę

gaszeniem niedopałka w pełnej popielniczce. Sięgnął znowu po piwo i oparł się plecami na krzesło. Butelka zostawiła wilgotne kółko na jakimś protokole.

– Pomyśl tylko, Casimiro, być może w tym momencie gdzieś na świecie rodzi się właśnie kobieta, której zawsze szukałem, ale jeśli przychodzi na świat dzisiaj, to kiedy będzie miała dwadzieścia lat, ja będę starym niedołęgą, który sika pod siebie w łóżku. A jeśli nawet urodziła się czterdzieści lat temu gdzieś w Algierii, w Polsce czy w Australii... to kto ją tam kiedy widział? Zastanawiasz się czasem nad takimi rzeczami?

– Panie komisarzu, mogę opowiedzieć panu o tym, co widziałem?

– Oczywiście, przepraszam – odparł Bordelli, godząc się z tym, że będzie musiał go wysłuchać. Karzeł odstawił butelkę na biurko i stanął na nogach, znowu poruszony.

– Szedłem przez pole i omal nie nadepnąłem na trupa – powiedział jednym tchem, bojąc się, że komisarz znowu mu przerwie.

– Jesteś tego pewien? – spytał Bordelli.

– Jasne, że tak. Był nieżywy, panie komisarzu, z ust ciekła mu krew.

– Gdzie jest to miejsce?

– Zaraz za Fiesole – odparł z ponurą miną Casimiro.

Bordelli podniósł się, jedną ręką sięgnął po papierosy i zapalki, a drugą zdjął z oparcia krzesła marynarkę.

– Casimiro, coś ty tam robił o tej porze?

– Przechodziłem przypadkiem – odparł karzełek, ale jego oczy wyraźnie mówiły, że mija się z prawdą.

– Jedziemy obejrzyć te zwłoki – powiedział Bordelli, ruszając do wyjścia.

– A mój rower? – zapytał karzeł, drepzcząc obok niego.

– Załadujemy go do samochodu.

. . .

Dotarli do końca viale Volta i skręcili na drogę prowadzącą pod górę w kierunku Fiesole. Gdy minęli klasztor San Domenico, w dole przed nimi ukazały się zarysy miasta przypominające wielką ciemną plamę wypełnioną świecącymi punkcikami. Całkiem jak krowie łajno, w które powtykano świeczki, pomyślał Bordelli.

Casimiro trzymał wyciągnięte nóżki na siedzeniu tak, że jego podarte buty ledwie sięgały krawędzi fotela. Nie odzywał się. Bawił się swoją maskotką, kilkucentymetrowym plastikowym szkielecikiem, który miał dwa czerwone szkiełka zamiast oczu. Od lat nosił go przy sobie i Bordelli już dawno temu przestał się z niego podśmiewać z tego powodu.

Gdy minęli główny plac w Fiesole, karzełek kazał mu skręcić w prowadzącą w dół via del Bargellino. Po przebyciu kilkuset metrów zaczął się nerwowo rozglądać.

– Niech się pan tu zatrzyma, panie komisarzu – powiedział w pewnej chwili, wskoczywszy na nogi na siedzeniu.

Bordelli zaparkował garbusa na kawałku wyrównanej ziemi i wysiadł. Casimiro zeskoczył z fotela, bardzo podniecony.

– Poprowadzę pana, komisarzu – rzekł, a potem wdrapał się na podniszczony murek, który oddzielał pole od drogi, i zaczął się zagłębiać w niskie i gęste zarośla. Bordelli ruszył za nim, rozglądając się uważnie. Wiszący wysoko na niebie wielki, bardzo jasny księżyc okrywał wiejską okolicę ponurą poświatą, ale za to wszystko było dobrze widoczne. Po prawej stronie rozciągało się duże nieuprawiane pole, na

którym widać było kilka uschniętych winorośli i parę drzew obrośniętych bluszczem. Skrajnie zapuszczony teren robił bardzo przygnębiające wrażenie.

– Powiedziałaś, że przechodziłaś tędy przypadkiem? – Bordelli roześmiał się.

– Prawie – rzucił karzeł, tonąc w chaszczach.

– To znaczy?

– Nie mam ani lira przy duszy, panie komisarzu, to co mam robić?

– Co masz na myśli?

– Co jakiś czas muszę się pokręcić po okolicy, żeby znaleźć trochę warzyw.

– W tym okresie są tu pewnie tylko jakieś strąki.

– Pora jeszcze wczesna, na razie można znaleźć tylko kapustę... Proszę za mną, skręcamy tutaj.

– Musi tu być pełno ropuch – zauważył z obrzydzeniem Bordelli, mając nadzieję, że nie nadeptnie na żadną. Rosła tu wysoka, wilgotna trawa i już teraz czuł, że ma przemoczone buty. Padało przez cały tydzień, więc co jakiś czas stawiał nogę w błotnistej kałuży. Było dość zimno. Wiosna postanowiła opóźnić swoje nadejście.

– Daleko jeszcze?

– Tam – odparł przyciszonym głosem karzeł, który prawie biegł na swoich krótkich nóżkach. Przedarli się przez błotniste zarośla i skręcili do w miarę dobrze utrzymanego gaju oliwnego. Ziemię porastały tu bujne chwasty, niskie i gęste. Przyjemnie było kroczyć po nich po brnięciu w błocie. Księżyc świecił tak jasno, że obaj rzucali na ziemię wyraźne cienie. Ale wszystko, co pozostawało w mroku, było jeszcze ciemniejsze.

– Jesteśmy prawie na miejscu – szepnął karzełek, zwalniając kroku. Nieco dalej, w górze, widniała

osiemnastowieczna willa, ogromna, postawiona na wielkim nasypie. Otaczający ją ogród opadał stromo w kierunku pola, oddzielony od niego wysokim, pochylonym kamiennym murem, wzmocnionym dużymi wieżyczkami porośniętymi bluszczem. Oba światy oddzielała balustrada na szczycie muru. Wszystkie żaluzje w willi były opuszczone i nie przenikały przez nie żadne światła. Casimiro zatrzymał się przed olbrzymim drzewem oliwnym stojącym kilka kroków od muru i rozejrzał się nieufnie.

– Ten trup leżał tutaj, panie komisarzu... Był tu, przysięgam!

Bordelli rozłożył ręce.

– Obudził się, jak widać – powiedział ze śmiechem.

Karzeł nie dowierzał, bezustannie krążył wokół drzewa. W pewnej chwili pochylił się, żeby coś podnieść.

– Niech pan popatrzy, komisarzu – powiedział, unosząc butelkę.

Bordelli ujął ją za szyjkę. Z bezbarwnego szkła, raczej mała, na jej dnie zostało jeszcze trochę ciemnego płynu. Była czysta, musiała tu leżeć od niedawna. Przeczytał napis na etykietce: *Cognac De Maricourt, 1913*. Nie znał tej marki. Odkręcił zakrętkę i powąchał, wydawało się, że koniak jest dobry. Powściągnął chęć wypicia łyeczka i zakręcił butelkę.

– Ten trup tu leżał, nie jestem stuknięty! – powtórzył Casimiro.

– Może tylko się upił. – Komisarz wsunął butelkę do kieszeni i podszedł do jednej z wieżyczek. Karzeł ruszył za nim. Miniaturowe umocnienia były wysokie i zbudowane bardzo solidnie. Gdy patrzyło się na mur z dołu, wydawał się on jeszcze wyższy. – Jak ten trup wyglądał? – spytał ze zmęczoną miną Bordelli.

– Nie przyjrzałem mu się dobrze... natknąłem się na niego i zaraz uciekłem... Zauważyłem tylko, że był zakrwawiony naoko...

– Cicho! – szepnął Bordelli, nastawiając uszu. Dał się nagle słyszeć szybki tupot i odgłosy zdyszanego oddechu. Na tle oświetlonych przez księżyc grud ziemi ukazała się sylwetka psa o krótkiej sierści, który pędził w ich kierunku. Najbardziej widoczne były jego zęby, błyszcząły jak wilgotny marmur. Komisarz zdążył wyciągnąć na czas berettę i strzelił mu prosto w pysk. Doberman zaskowyczał i łapy ugięły się pod nim, ale z rozpędu potoczył się w stronę Bordellego i przewrócił go na ziemię. Zaskowyczał znowu, przebierając przez kilka sekund łapami w powietrzu, a potem wyciągnął się na ziemi i znieruchomiał.

– Cholera... – rzucił komisarz.

– Na szczęście celnie pan strzela – powiedział nieco drżącym głosem karzełek.

– Ale gdzie ty jesteś? – spytał Bordelli, rozglądając się za nim.

– Tu, na gorze, panie komisarzu. – Casimiro wdrapał się na oliwkę, ale zaczynał już schodzić na dół. Bordelli schował pistolet i podniósł się. Przyjrzał się sobie. Miał zmoczoną marynarkę i spodnie poplamione krwią. Otarł się byle jak chusteczką, a potem pochylił się nad dobermanem, żeby mu się przyjrzeć. Pies miał zmiażdżony, zakrwawiony pysk i był bez obroży.

– Wiesz co, Casimiro, ta sprawa mi się nie podoba.

Bordelli podniósł wzrok, ale karzełka nigdzie nie było. Rozejrzał się za nim i zobaczył, że biegnie między oliwkami w kierunku zagajnika. Nie zawołał za nim. Odszedł trochę od muru, żeby rzucić okiem na willę, która była ciemna jak przedtem. Nikt się nie pokazał po strzale. Albo nikt tu nie

mieszka, albo mieszkańcy tego domu muszą mieć mocny sen, pomyślał. Zapalił papierosa i ruszył w stronę zagajnika. Kiedy dotarł do samochodu, zobaczył, że karzeł siedzi na masce silnika, obejmując się za kolana. W jego błyszczących oczach widać było jeszcze strach.

– Casimiro, co cię tak wzięło?

– Gdybym był sam, poszarpałby mnie na strzępy – odparł karzełek, wzdrygnąwszy się.

– Często zaglądasz w te okolice? – spytał Bordelli, wycierając buty o kamienny murek.

– Co jakiś czas. – Casimiro zeskoczył na ziemię, rozglądając się w napięciu.

Wsiadli do garbusa i ruszyli w stronę miasta. Karzełek siedział sztywno, pogrążony w milczeniu, obracając w palcach swój szkielecik. Byli już na ostrym zakręcie zwanym Regresso, gdy w pewnej chwili Bordelli zatrzymał samochód.

– Co pan robi, komisarzu?

– Wracam w tamto miejsce.

– Dlaczego?

– Sam nie wiem. – Bordelli nawrócił i wciskając pedał gazu, ruszył z powrotem w kierunku Fiesole. Drgania garbusa przenosiły się prosto na plecy. Niedługo potem wjechał znowu w via del Bargellino i zatrzymał się w tym samym miejscu. Otworzył drzwi i wystawił nogę na zewnątrz.

– Nie pójdziesz ze mną? – spytał Casimira, widząc, że ten się nie rusza.

– Wolę zaczekać tutaj – odparł z mroczną miną karzełek.

– Jak wolisz. – Bordelli wysiadł z auta i pokonawszy pospiesznie tę samą drogę, dotarł do gaju oliwnego. Księżyc zaczynał oświetlać ściany willi, która teraz wydawała się jeszcze bardziej opuszczona. Komisarz podszedł do

wieżyczek z pistoletem w ręku i zobaczył natychmiast, że trupa dobermana już nie ma. Na trawie zostało po nim tylko trochę krwi. Rozejrzał się, ale na dywanie z gęstego zielska nie było żadnego śladu. Potrząsnął głową, myśląc, że popełnił głupstwo. Gdyby się nie oddalił...

W pewnym momencie usłyszał chrzęst żwiru, który zdawał się dochodzić z ogrodu willi, i instynktownie przykucnął za jedną z wieżyczek, ukrywając się w cieniu. Podniósł oczy i w tej samej chwili zza balustrady na szczycie muru wyjrzała głowa mężczyzny. Widział go bardzo wyraźnie w świetle księżyca. Miał zupełnie siwe włosy i długą czarną plamę na szyi. Przez kilka sekund wpatrywał się w gaj oliwny, po czym zniknął.

Panowała kompletna cisza, słyszać było jedynie szum wiatru wśród liści oliwek. W oddali zaczął ujadać wściekle jakiś pies, który od czasu do czasu wydawał z siebie wilcze wycia. Komisarz odczekał jeszcze kilka minut, wstrzymując oddech i przepatrując szczyt ogrodzenia, ale nie zobaczył już nikogo. Wyszedł z cienia i ruszył pod osłoną muru, żeby nie narażać się na to, że ktoś dojrzy go z willi. Doszedłszy do bardziej osłoniętego odcinka, skręcił w stronę zagajnika, oglądając się co chwilę w kierunku budynku, ale nie dostrzegł żadnego znaku życia. Pospiesznie wrócił do samochodu i zastał karzełka stojącego na siedzeniu z twarzą przylepioną do szyby.

– Dobermana już tam nie ma, ale widziałem jakiegoś gościa, który wyglądał z ogrodu willi – powiedział, zamykając cicho drzwi.

– Ten pieprzony pies... – odezwał się Casimiro ze zbolalymi oczami, ściskając w ręku swój szkielecik.

Bordelli zapalił spokojnie papierosa i dmuchnął dymem w szybę.

- Wiesz może, kto mieszka w tym domu? – spytał.
- Jakiś zagranicznik, ale nigdy go tu nie ma.
- Skąd o tym wiesz?
- Chodzą takie plotki.
- Obcokrajowiec, ale skąd?
- Baa...
- A wejście do willi?
- Tam wyżej, od via dei Bosconi... Dlaczego pan pyta?
- Jestem ciekawy. – Komisarz uruchomił silnik, zakręcił i wjechał na szczyt wzniesienia. Ten gość z ciemną plamą na szyi... Coś mu to mówiło, że gdzieś już widział taką plamę... lub może podpowiadała mu to tylko wyobraźnia policjanta.

Skreślił w via Ferrucci w kierunku via dei Bosconi. Po kilku zakrętach zatrzymał garbusa na poszerzeniu drogi, parę metrów od bramy willi, na której widać było inicjały nie do odczytania.

- Zaczekaj tu – powiedział do karzełka, wysiadając z auta.
- Dokąd pan idzie?
- Chcę tylko rzucić okiem.

Żółtawe światło latarni słabo oświetlało ulicę. Bordelli podszedł do bramy i spróbował ją popchnąć. Była zamknięta. W ogrodzie rosło wiele wysokopiennych drzew, a także mnóstwo krzewiącego się beztrosko zielska, ale księżycowe światło było za słabe, aby rozjaśnić jego wnętrze. Wszędzie porozstawiane były wielkie puste wazy, terakotowe dzbany i dziwne marmurowe rzeźby różnych rozmiarów. Willa stała dość daleko od ulicy, otoczona cedrami wyższymi niż dom. Także po tej stronie żaluzje zaciągnięto i nie było widać najmniejszego światelka. Komisarz pociągnął za łańcuszek od dzwonka i usłyszał majestatyczne brzmienie wewnątrz domu. Nikt nie

odpowiedział. Zadzwoił ponownie, potem jeszcze raz, wreszcie dwa razy z rzędu. W końcu dojrzał światło sączące się spoza listewek jednej z żaluzji. Nad kamiennym obmurowaniem wejścia zapaliła się żarówka i zaraz potem otworzyły się drzwi. Na progu pojawiła się ludzka sylwetka.

– Kto tam? – zapytał kobiecy głos.

– Policja. Może mi pani otworzyć z łaski swojej?

Kobieta wróciła do wnętrza i zamek furtki odskoczył. Komisarz popchnął ją obiema rękami i usłyszał skrzypienie zardzewiałych zawiasów. Wszedł do ogrodu i ruszył żwirowaną alejką między cieniami dzbanów i marmurowych straszydeł. Kobieta czekała na niego na progu przed uchylonymi drzwiami, owinięta czarnym szalem. Nie wydawało się, żeby miała na sobie nocny strój, i nie wyglądała na osobę, która dopiero co się obudziła. Komisarz stanął przed nią, wyjął legitymację policyjną i skinął lekko głową.

– Komisarz Bordelli. Przepraszam, jeśli zakłóciłem pani spokój o tej porze. – Kobieta mogła mieć około pięćdziesiątki. Była wysoka i chuda, nie wyglądała na Włoszkę. Jej usta miały surową linię. Stała bez ruchu, wyprostowana, i przyglądała się komisarzowi zza okularów.

– Potrzebuje pan czegoś? – spytała z silnym niemieckim akcentem, owijając się szczelniej szalem. Miała zupełnie siwe włosy, związane na karku w równy węzeł. Bordelli odniósł wrażenie, że ktoś obserwuje go spoza jednej z żaluzji na pierwszym piętrze, ale nie dał poznać tego po sobie.

– Mam przyjemność z panią...? – powiedział pytająco.

– Jestem gospodynią pana barona – odparła chłodnym tonem kobieta.

– Mogę spytać o jego nazwisko?

– Baron von Hauser.
– A pani jest...
– *Signorina* Olga.
– Czy pan baron jest w domu?
– Nie.
– Może mi pani powiedzieć, gdzie przebywa?
– Pan baron jest ciągle w podróży, rzadko przyjeżdża do willi.

– Czy mieszka tu ktoś jeszcze?
– Nie.
– Mieszka tu pani sama?
– *Ja*.
– Przez cały rok?
– Nie rozumiem... Skąd te wszystkie pytania?
– Proszę mi wybaczyć, ale otrzymaliśmy doniesienie.

Pewna osoba słyszała strzał gdzieś tu w pobliżu.

– Ja niczego nie słyszę, poszła wcześniej spać.
Bordelli rozłożył ręce i uśmiechnął się.
– W takim razie nie mam do pani więcej pytań. Jeszcze raz przepraszam za zakłócenie odpoczynku, dobranoc. – powiedział.

– Dobranoc – odpowiedziała obojętnym tonem kobieta.
Pochylił z szacunkiem głowę i ruszył do furtki, ale po kilku krokach zatrzymał się i odwrócił znowu w stronę kobiety.

– *Signorina* Olga, jeszcze jedna sprawa... czy macie w tej willi psa rasy doberman?

– Nie.
– Wie pani może przypadkiem, czy któryś z sąsiadów...?
– Nie znam się zbyt dobrze na psach – przerwała mu z odcieniem wzgardy w głosie.

– To wszystko, dobranoc – powiedział Bordelli i

ponownie ruszył mroczną alejką. Zamykając furtkę, zobaczył, że kobieta stoi jeszcze bez ruchu na progu. Poszedł w kierunku garbusa i po chwili usłyszał odgłos zamykania drzwi.

Zastał w aucie śpiącego karzełka. Głowa opadła mu na bok i chrapał. Gdy tylko komisarz uruchomił silnik, Casimiro podniósł ją nagle i przetarł palcami oczy.

– Nie śpię – powiedział.

– Odwiozę cię do domu.

– Odkrył pan coś, komisarzu?

– Nie, ale ta sprawa nie daje mi spokoju. – Bordelli wpatrywał się przez chwilę w pustkę. A potem zakręcił i ruszył w kierunku miasta. Na jednym z prostych odcinków drogi wyciągnął z kieszeni marynarki portfel, wyjął z niego dwa banknoty tysiąclirowe i wcisnął je karzełkowi w rękę. – Przydadzą ci się, no nie? – powiedział.

Jak zwykle, Casimiro wahał się przez chwilę, ale potem wziął pieniądze i wsunął je do buta.

– Dziękuję, panie komisarzu, nie za bardzo radzę sobie z trudnościami – przyznał ponurym tonem.

– Zapalisz?

– Nie, dziękuję... Gdyby pan chciał, mógłbym spróbować coś tu wywęszyć.

– Ale skoro niemal nie zrobiłeś pod siebie... – komisarz się roześmiał.

– Nie boję się – odparł trochę urażonym tonem karzeł. Nie miał ochoty wyjść na tchórza.

– Nie myśl o tym, Casimiro, to by mogło być ryzykowne – powiedział z poważną miną Bordelli.

– Dlaczego?

– Nigdy nie wiadomo.

– Wiem, co robię – zapewnił go Casimiro, ściskając

mocniej szkielecik.

– A jakbyś natrafił znowu na takiego pieska jak tamten?

– Noszę przy sobie pistolet, o, taki długi... – rzekł karzełek z miną twardziela. Wydawało się, że poczuł przypływ osobistej godności.

– Nie próbuj odgrywać westernowego bohatera, Casimiro... być może za parę dni będę miał dla ciebie małą robótkę – skłamał Bordelli, już teraz zastanawiając się nad tym, co by tu wymyślić. Pewnego razu kazał mu nawet śledzić Diotivedego, wmówiwszy mu, że to mafioso...

Przez chwilę jechali w milczeniu. Garbus sunął powoli w dół, w kierunku miasta. Dotarłszy do klasztoru San Domenico, Bordelli skręcił bez szczególnego powodu w stronę dawnego opactwa Badia Fiesolana, może tylko po to, żeby zobaczyć znowu stromy zjazd, który pokonywał jako chłopiec na wózkach z łożyskowanymi kołami, ryzykując złamanie karku.

– Casimiro, nie wiesz przypadkiem, co może porabiać Botta? – Od dość dawna nie widział się z Ennio Bottarinim. Miał zamiar zorganizować u siebie kolejną kolację, zatrudniając Bottę przy garnkach. Ten pechowy złodziejaszek był naprawdę niezłym kucharzem. Spędził kilka lat w więzieniach połowy Europy i dzięki rozmowom z towarzyszami niedoli nauczył się kuchni wszystkich tych krajów.

– Powinien być jeszcze w Grecji – odparł karzełek.

– Na wolności czy za kratkami?

– Parę dni temu spotkałem jego kolegę, mówi, że Botta zrobił trochę forsy i zamierza wrócić.

– No proszę, proszę...

. . .

Kilka dni później Bordelli otrzymał w kwesturze telefon i wyruszył garbusem, mocno dociskając pedał gazu. Jak zwykle był z nim młody Piras. Dochodziła siódma wieczorem i słońce zaszło już jakiś czas temu.

Przy wejściu do Parco del Ventaglio stał spory tłum ludzi i trzy policyjne samochody z włączonymi reflektorami. Bordelli zostawił garbusa koło bramy i wysiadł, czując w mózgu przyspieszone tętno. Obok niego szedł milczący Piras. Od czasu, gdy rok temu ten inteligentny i nieco sztywny chłopak, Sardyńczyk, zjawił się w kwesturze, komisarz włączał go do wszystkich śledztw. Żeby nie mieć stale obok siebie policjanta w mundurze, kazał mu wkładać cywilne ciuchy. Czuł się dobrze z Pirasem, tak samo jak się czuł w czasie wojny, mając obok siebie jego ojca, Gavina.

Księżyc krył się za grubą warstwą chmur, toteż park był równie mroczny jak niebo. Ciemny trawnik po lewej stronie piął się stromo na szczyt pagórka, na którym widać było światła policyjnych reflektorów, przeświecające przez tłum zgromadzonych tam ludzi. Zaczęli się wspinać. Podeszwy butów ślizgały się po wilgotnej trawie i już po kilku krokach obaj zmoczyli sobie dół spodni. Z oddali dochodziły dźwięki syreny. Dotarli na szczyt wzniesienia. Bordelli parł wielkimi krokami do przodu, torując sobie drogę w ludzkiej cizbie. Piras przylepił się do niego tuż za jego plecami i razem wciskali się w szczeliny między ludźmi, zanim zdążyły się zamknąć. Byli już dziennikarze, zajęci pisaniem w notatnikach, oraz kilku reporterów. Nie wiadomo, jak to się działo, ale ludzie z prasy należeli zawsze do pierwszych osób, które zjawiały się na miejscu.

Komisarz przepychał się dalej aż do kordonu utworzonego przez funkcjonariuszy i w pewnej chwili ją zobaczył: w jasnym świetle policyjnych lamp dziewczynka

przypominała z daleka wiązkę szmatek rzuconych na trawę. Leżała twarzą zwróconą ku niebu u stóp wysokiego drzewa, z wyprostowanymi nogami i rozrzuconymi rękami, niczym mały Chrystusik. Komisarz podszedł do dziewczynki, mając za plecami Pirasa, i obaj pochylili się, żeby się jej przyjrzeć. Miała około ośmiu lat, otwarte usta i oczy, kruczoczarne włosy i częściowo rozpleciony warkoczyk. W świetle reflektorów jej biała twarzyczka wyglądała jak sztuczna. Na szyi widać było czerwone ślady. Podciągnięty w górę sweterek odsłaniał ślady ugryzienia na brzuchu. Bordelli przypatrywał się jej długo, tak jakby chciał zatrzymać ten widok w pamięci, a potem odwrócił się do Sardyńczyka. Spoglądali na siebie przez kilka sekund, nie odzywając się ani słowem.

Ze wszystkich stron tłoczyli się ciekawscy, którzy chcieli zobaczyć leżącą dziewczynkę. Mieli przerażone miny i wypuszczali z ust obłoczki pary. Słysząc też było popłakiwanie kilku kobiet, a trochę dalej ktoś wymiotował. Ale Bordellemu działał na nerwy przede wszystkim ten nieustanny ruch nóg i cieni wokół zwłok dziewczynki. Przetarł oczy, naciskając je mocno palcami. Czuł się bardzo zmęczony, ale być może była to tylko reakcja na przykry widok, jaki miał przed sobą.

Dźwięki syreny przybliżyły się i komisarz zadał sobie pytanie, czy kieruje się ona właśnie do tego parku. Przeleciało mu przez głowę, że to wycie jest już całkowicie daremne. Dziewczynka nie żyła i nikomu nie było wolno niczego dotknąć, dopóki nie zjawi się lekarz sądowy. Spojrzał na zegarek. Ile czasu potrzebuje ten Diotivede, żeby tu dotrzeć? Dotknął ramienia jednego z funkcjonariuszy.

– Rinaldi, nie wiesz, czy ktoś coś widział albo słyszał?